

P I O N

Biblioteka
UMCS
Lublin

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 29 CZERWCA 1935 R. * NUMER 26 (91)

TREŚĆ: JALU KUREK: Zaćmienie nieba * KAROL IRZYKOWSKI: Monachomachja humanistyczna * MARJA KOSSAK-JASNORZEWSKA: Poezje * T. UNKIEWICZ: O pewnych cechach naszego pokolenia * W. BURKATH: Jak powstała muzyka litewska? * M. MASŁOWSKI: W laboratorium R. Gi-



neyki * MICHAŁ CHOROMAŃSKI: Wielka dusza i małe ciało * KONRAD GÓRSKI: Naprzelaj za Skiwskim * TYMON TERLECKI: Mieczysław Frenkiel * K. W. ZAWODZIŃSKI, J. S. B.: Historia literatury * K. IRZYKOWSKI: Teatr * S. KAWYN, J. PUCIATA-PAWŁOWSKA, L. STOLARZEWICZ: Kronika.

Z A Ć M I E N I E N I E B A

Czegoś podobnego nie pamiętają najstarsi ludzie w Krakowie. Dnia 17-go maja po godzinie drugiej popołudniu zapanowała nad miastem nieprzenikniona, bezdeszczowa ciemność. W tym mroku nie upadła ani kropla deszczu; paniczny nastrój nie wylądował się w hurzy. Dopiero po pół godzinie niebo pojaśniało i jednym skrzydłem o Kraków zawadziła burza.

Było tak ciemno jak w nocy. Ludziom serca zamierały w przestkach. Niebo było jednostajne, straszliwie zasłane ciemnym kobiercem. Nie było widać poszczególnych chmur. Wyglądało tak, jakgdyby słońce zagasło.

Cała przyroda zamilkła i zmartwiała. To było coś przerażającego. Niektórzy żegnali się z lękiem:

— Jezu, co to będzie?

Jak żyję, nie widziałem jeszcze takiej ciemności za dnia. Jakby dzień schował się w grobie. Jakby niebo pokryło się żalobnym kirem. Pobożni zaczęli wspominać Pismo święte:

— Będą znaki na niebie i na ziemi...

Dopiero wtedy uczulem po raz pierwszy, że to jest strach kosmiczny. Zaczęłam myśleć o końcu świata. Pomyśleć: słońca nie ma. Trwa pełny dzień, zegarki nasze nie mogą się mylić, a tu jakaś potworna katastrofa w świecie. Słońce znikło. Chyba wszyscy mieszkańcy Krakowa odczuli w tej niezwyklej chwili przejmujący lęk przed śmiercią i to przed śmiercią ogólną, zbiorową, śmiercią całego globu.

Było tego dnia w Krakowie grubo ponad ćwierć miliona osób. Miasto było odkryte żalobą, a ludzie zdjęci przerażeniem. Było to zaś w przeddzień pogrzebu Marszałka na najdroższe zwłoki. Ciemność nastąpiła w tym czasie, kiedy na Polu Mokotowskim w stolicy zaczynała się ostatnia pośmiertna już defilada wojska przed Wodzem.

Trzeba sobie pewne fakty zarejestrować w pamięci. Sądzę, że po latach, kiedy będziemy wspominali pogrzeb Marszałka w Krakowie — w ten sposób przypomnimy sobie jego datę:

— Było to nazajutrz po zaćmieniu nieba.

Straszne było to zaćmienie, większe, przeraźliwsze i dłuższe od wszystkich zaćmień słońca.

Jakież człowiek nieprzesądny i światły — nie łączył choćby przez minutę tego zaćmienia ze śmiercią Pilsudskiego? Jesteśmy ułomni, a to był człowiek wielki. Jeśli zaś dodamy, że w jakiś bliżej nieokreślony sposób losy człowieka napewno związane są z wpływami gwiazd — to cóż mogło być dziwnego w tem, że niebo dało znak swojej żalobie? Jeszcze jest tyle rzeczy niewytłumaczonych w przyrodzie, że ten zbieg olbrzymich mas pyłu lub grubych zwalów chmur — postawię chętnie i bez wstydu pod znakiem zapytania. Nikt rozumny nie weźmie mi tego za dowód zabobonu; tylko fanatyczni głupcy będą uważać mnie za zwolennika stylu bizantyjskiego.

Czytałem niedawno w jakimś piśmie (pozbawionem czarnych obwódek) bajanie o opozycji. Tu niema mowy o partjach, ani o polityce wewnętrznej, jeśli w grę wchodzi Ojciec Narodu. Jestem poetą, t. zn. wiecznie i z wszystkiego niezadowolonym, ale któż z nas nie widział w Pilsudskim ognia gorejącego, którego wielkość można mierzyć wzruszeniem milionów ludzi?

To była olbrzymia postać, jak czytało się we wszystkich artykułach od paru dni. Na przestrzeni od Sobieskiego po dzień dzisiejszy największy Wódz Polski, a może i Europy środkowej. Pomyśleć: wygrał wojnę z jedną szóstą częścią świata, a zasłynął w oj-



czyźnie nie tylko jako jej wskrzesiciel, ale jako twórca i umocniiciel pokoju. Pomyśleć, że za trumną Pilsudskiego, kandydata do nagrody pokoju — szedł premier Goering, prawa ręką Hitlera, szły w jego osobie Niemcy, związane paktem pokoju z Polską na dziesięć lat. To zrobił Pilsudski.

Cóż więc dziwnego, że niebo w przeddzień, kiedy go chowano, pociemniało, jakby odprawiając pochmurne, żalobne egzekwje? Trudno dobrać słów wystarczająco mocnych i odpowiednio tragicznych, aby odmalować stratę wielkiego człowieka. W tych dniach pamiętnych na wieść o tej śmierci niespodziewanej, wybuchły nagle — najprostszy ludźmi płakali, urzeczony majestatem Wodza:

— To była świeca w narodzie.

Już za życia uważali go za nieśmiertelnego. Co za zbieżność wypadków w przyrodzie i wśród ludzi! Zagasła świeca w Polsce i zagasło światło nad Krakowem.

W dzień bezsłoneczny, żalobny, raczej chmurny odchodziły te zwłoki na Wawel. Kraków rozświetlił się lampami elektrycznymi, płonącymi pod opaską kiru, światłem przenikającym z za krepy.

Odszedł między króle niekoronowany Wódz Narodu — człowiek, który dla tylu milionów ludzi stanowił najpiękniejszą przeżył w życiu. Odszedł, utracony w sercach niezmiernym bólem. Na Jego przyjęcie w wigilję — niebo nad Krakowem odprawiało ciemną jutrznię, rozwarła nad tłumami przybyłymi do Krakowa straszliwą nocą w dzień, jak katastrofą kosmiczną.

Miasto Kraków godnie chowało zwłoki Marszałka. Spokojnie, w kolorze czarnym. W ciszę wzniosła, nierozdartą krzykiem wpłynął Jego trumienny całun. Nie przysłała tu ta trumna na paradę, jak w Warszawie, gdzie urządzono jej wspaniałą defiladę. U nas w pochodzie nie wzięły udziału nawet wszystkie delegacje. Stały sobie w szpalerze kornie i karnie. Ci strażacy, którzy poprzyjeżdżali z dziur i zakątków, ci sokoli ze sztandarami, gdzieś w szóstym szeregu kordonu. Biedactwo to rozległo się po ławkach, po plantach, po błoniach, dając folę i wytechnienie zmęczonym nogom, uciśnionym stopom, po nocy nieprzespanej, po dniu niedojedzonym. Po sześć godzin stali w jednym miejscu, za złoty pięćdziesiąt tam i zpowrotem przyjechawszy zdaleka, aby oglądać Kraków i wziąć udział w

jego wielkim dniu. To był największy i niezamierzony przez organizatorów „Dzień Krakowa”, który się utrwał na długo w pamięci społeczeństwa. To był zjazd tragiczny a tłumny do relikwii narodowych, który dotąd zachowa swój nieprzerwany ciąg w historii.

Zjechali się tu ci wszyscy, których nie dopuszczono do holdu wielkich; prostaczkowie cisi, którym pobyt w Krakowie wystarczył za dotknięcie zwłok Wodza. Wodza, który skupił dla Polski serca nieprzyjaciół, Wodza, po którym płakali chłopcy z najodleglejszych wsi. Nie protestujcie! To był naprawdę opiekun maluczkich, a bicz Boży dla możnych.

Chciałbym uzbroić się w głos, w zarliwość gwałtowną się okuć. Trudno nie mówić kazania. Można by przebrać mowę polską aż do głębin i nie znaleźć słowa, któreby godnie kreśliło wartość tego człowieka. Można by zawołać Go najpiękniejszymi wyrazami, jakie znamy, ale Jego nikt zupełnie nie zdola wysłowić.

Oto jest Ten, który znalazł swój takt w dziejach. Oto są dzieje, które działy się podług Niego. Oto są dzieła, które działy. Jego prawda była w zwycięstwie. Jego marzenie tkwiło nie w wojnie, lecz w pokoju. Marsz ustanowił jako tempo naszego postępu. Nasz sztandar był nad Nim. I jedno słowo było między Nim a nami: Polska. Kraj, który powstał przez Niego. Kraj, zakochany zawsze w Jego wielkości.

Gdybyśmy wzięli choć isierkę z tego gorejącego serca, które za nas cierpiało — jeszcze moglibyśmy powiedzieć, że pieścimy w dłoni pożar, ogromny pożar, który zdolny byłby spalić świat. Trzeba ten ogień brać w siebie jak błogosławieństwo.

Danem mi było oglądać miejsce, gdzie urodził się Pilsudski, i mieszkać w mieszkaniu, gdzie Go chowano. Wspominam więc lipy żułowskie, schylone nad rzeczką Merą i pogrzebny kondukt na Wawel — a między nimi rozpięte to bohaterskie życie. Kiedy w katedrze warszawskiej mówił biskup Gawlina rotę przysięgi, ludzie w kościele płakali. To było kazanie! Tragicznym był zaiste płacz dostojników państwowych, zapartych w trumnie, która w niebieskiej poświacie wisiała pod królewską koroną, jak gdyby już unoszona przez aniołów.

Książę Kościół mówił, że ręka Boska upodobniła Go do Pana i naznaczyła czoło

Jego stygmatem wielkości — oraz, że Pan Zastępów wycisnął niezatartą pieczęć wybrańców swych na nieśmiertelnym duchu Marszałka. Jestem najgłębiej wzruszony tą śmiercią, ale w tych słowach dają zaledwie nieudolne echo płaczu, który podniósł się w Rzeczypospolitej. Tyle ta ziemia wchłonęła już lez, że i ten płacz bez śladu pochłonie. Ale to wszystko użyźni glebę naszego serca, w którym zamknęliśmy pamięć o bohaterskim wodzu. Za kilkanaście i kilkadziesiąt lat pokazywać będziemy dzieciom jego postać na fotografii, aby się uczyły wzniosłości z Jego przykładu.

— Tak wyglądał Pilsudski.

I będziemy się uśmiechali z radości i dumy, że nam właśnie było danem żyć w owych natchnionych czasach wespół z tym niezwyklej człowiekiem.

Już nieraz byliśmy świadkami pośmiertnego kanonizowania świętych w narodzie. Niejednokrotnie w ciągu wieków fabrykowano dla rozmaitych celów najróżniejsze mity. Odważni odkłamywacze zrzucili z piedestału dużo historycznych posągów. Ale Ten, o którym piszę, — zaledwie o miesiąc oddalony od dnia swojej śmierci — nie robił kariery świętego. Bez bluźnierstwa śmiało można powiedzieć: — był takim za życia.

Nie było Mu oszczędzone największe cierpienie i najboleśniejszy trud nie był Mu odjęty. Był zapewne od nas o cale serce szerszy. O kim tyle wyśpiewano pieśni? Żaden człowiek, żaden wódz, ani mąż stanu, ani święty — nie skupił w Polsce takiej ilości natchnienia jak Pilsudski. Chociaż, mimo iż wzrastał w legendę za życia — nie wykolywał jeszcze Pilsudski swojej najwznioślejszej poezji. Duży tom zebrałoby się wierszy, napisanych o Nim, ale dopiero kiedyś doczeka się Marszałek swojego doskonałego poety, który czyn Jego wśpiewa w cudowny poemat. Trzeba z perspektywy ogarnąć to życie wielkie, które było koło nas blisko. Przyszłe pokolenie poetów nada tej wielkości właściwy wymiar i kształt.

Zaczęliśmy to pisanie od półgodzinnej ciemności, która rozpostarła się nad Krakowem w wigilję pogrzebu Marszałka. Pociemniał krajobraz w całej Polsce od tego zdarzenia.

Ale teraz ta trumna z podziemi Wawelu unosi się wysoko nad narodem i świeci w ciemności, powstałej od smutku i żaloby. Niebo i ziemia płaczą po tej stracie. Tak wciska się śmierć zdradliwa w kościół cierpiących. Tak zamiera w nas boleść. Tak powstaje ciemność pod chmurami.

Doczesne szczątki Pilsudskiego spoczęły wśród holdu przedstawicieli całego świata. Dzień trwał aż do końca w nieruchomej, chmurnej, bezsłonecznej żalobie. Po Krakowie ciągnęła pielgrzymka pół miliona ludzi. Cała Polska i pół Europy nadsłuchiwała z głośników echa Krakowa. Tu skoncentrowała się boleść kraju. Kraków powiedział ostatnie słowo w tej podniosłej manifestacji. Kraków, wiecześnie urzeczony potęgą Marszałka.

W tę trumnę wpromienia się moc żywa narodu, która spoczywa w ciele umarłym i ogarniętym śmiercią. Z bólem najgłębszym Kraków zamknął w sobie najukochańsze zwłoki, drogocenną trumnę wielkości.

Przez Ciebie płaczą generalowie, biskupi, kobiety, pastuchy, robotnicy, dzieci. Płaczę Cię Polska, płaczemy Cię wszyscy. Dla wielu życie bez Ciebie jest męką. Oby Twój duch nie pamiętał złego, które Ci na ziemi wyrządzono. Pozdrawiamy wszyscy Twoje ciało wzniośle słowem poety:

— Żegnaj, duchu wielki i szlachetny. Żegnaj, najpiękniejsze cośmy przeżyli w życiu.

JALU KUREK



R. GINEYKO

Studjum

nięli niewielkie wypracowane, mózgowo kompozycyjne artysty. Poczucie barwy, które w wysokim stopniu cechowało tamte, choć dalekie od zagadnień kolorystycznych prace, — teraz znalazło swój właściwy wyraz

Rozdział ten stworzył pomost do obecnych fakturalnych poszukiwań artysty. Tematem tych prac w ostatnich dwóch latach jest Kazimierz nad Wisłą. Artysta, który przedtem rozwijał się w kręgu dociekań t. zw. „nowej rzeczowości” współczesnej plastyki niemieckiej, obecnie zwraca swe zainteresowania ku Paryżowi. Ewolucja uczucie przepracowanych zagadnień zaprowadziła go do odmiennego stanowiska — do ujmowania tematu, którego nie odrzuca, od strony efektów techniki malarskiej, w szerokim tego słowa znaczeniu. Przełom w sztuce Gineyki ostatnich lat jest rezultatem starcia się malarza i filozofa — starcia, jakie rozegrało się w jego sumieniu artystycznym. Zwiększył zdecydowanie malarz. Pochłania go obecnie praca nad techniką olejną, dającą tak szerokie pole dla eksperymentów fakturalnych — dawniej wystarczała mu konstrukcyjna tempera.

Rodzaj twórczości Gineyki, zamkniętej w ramach wewnętrznych, indywidualnych procesów psychicznych nie ma szans dotarcia do szerokich mas. Za daleka jest droga od samotnego szczytu, na jakim wyrosła sztuka artysty, do nizin, gdzie żyją gromady zwykłych śmiertelników. Natomiast może i powinien Gineyko stać się bliską i drogą własnością wybranego grona czujących polskich serc i myślących mózgów. Twórczość jego ciągle jeszcze fermentuje. Niepokój i samokrytycyzm pchają go do coraz to nowych poszukiwań. Artysta nie wyrzekł jeszcze ostatniego słowa i nie zakończył rachunków ze sobą i z nami.

MACIŁ MASŁOWSKI

NAPRZEŁAJ ZA SKIWSKIM

Jan Emil Skiwski wywalczył sobie we współczesnej literaturze nasze stanowisko prawdziwie niezależne i oryginalne. Niedawno wydany zbiór jego feljetonów literackich i publicystycznych¹ został nazwany przez autora słówkiem „naprzelaż”, co stanowi niezwykle trafnie dobraną przenośnię. W swej wędrowce myślowej po obszernych lanach rzeczywistości współczesnej autor unika dróg wytkniętych i utartych, chce iść naprzelaż, podkreślając, że nie jest to przypadkowe upodobanie, lecz postawa życiowa, wynikająca z wrodzonych skłonności.

„Jedni — pisze — krzyczą z wiecowej trybuny, a inni rozmyślają nad sprawami, o których tamci krzyczą; ...jedni znają tylko logikę odruchu, inni patrzą dalej i zawsze szukają syntezy pomiędzy elementami rozdartymi dziś walką, wierząc, że taka synteza jest nietylko możliwa, ale konieczna, że odnalezienie jej jest sprawą przyszłości kultury. W którym z tych obozów znajdzie się człowiek — nie od niego to zależy, nie on wybiera”.

¹ J. E. Skiwski: *Naprzelaż*. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.



R. GINEYKO

Pejzaż miejski

cienkiem, zlekka zadartemu profilowi niezapelnie przedmiotowo.

W jego miłosnym doświadczeniu najmłodsza kobieta, którą kochał, miała lat dwadzieścia cztery; mógł sobie ostatecznie wyobrazić kochankę dwudziestoletnią, ale poza tę linię wieku ani wyobraźnia jego ani doświadczenie nie sięgały. „O czym można mówić z osiemnastoletnią gąską? — myślał. — Albo co można uczuć do szesnastoletniego dziecka?” Był nieprzyjemnie zaskoczony i nie wiedział, jak ma się zachować. Uczucie zakłopotania wzrosło, kiedy zauważył, że pensjonarka, odłożywszy na bok ilustrowane pismo, podniosła błękitne, całkiem przejrzyste oczy — „oczy dojrzałej kobiety” pomyślał — i spojrzała na niego nieruchomo i z niepokojącą pewnością siebie. Nawykły do tego rodzaju wrokowych porozumień z kobietami, inżynier Gradzki odruchowo uśmiechnął się — ku swemu przerażeniu — pochwylił wymowne, porozumiewawcze drgnięcie dzieciennych warg. Ruchem stanowczym odsunął filiżankę z kawą i wstał. Miał swoje zasady, z których bezkompromisowości był dumny. Deprawacja młodzieży nie godziła się z temi zasadami w żadnym wypadku. Szybko i szlachetnie wymazał z pamięci naiwny dwuznaczny profil. I w tej chwili, kiedy odchodził od stolika, zetknął się na ścieżce, nos w nos, z przechadzającymi się panami. Jeden z nich — stary, gruby, o bardzo znajomej okrągłej twarzy — uchylił kapelusza i zawołał:

— Panie inżynierze!

Gradzki poznał prokuratora warszawskiego sądu okręgowego, uśmiechnął się, uściśnął rękę, opowiedział niedbale, dlaczego i skąd znalazł się w tem miasteczku, wyrzucił burzenie na porządku, panujące na kolejach oraz na „fatalny rozkład jazdy”, potem znowu uściśnął dłoń i chciał jaknajszybciej odejść, lecz prokurator rzekł ze śmiechem:

— Przyglądałem się, jak pan balansował na granicy kodeksu karnego! — i pogroził palcem.

— Co to znaczy? — zapytał sucho inżynier.

Prokurator śmiejąc się oświadczył, że po-

siadanie nieletniej dziewczynki, nawet za jej zgodą lub namową, uważane jest za akt gwałtu. Inżynier roześmiał się również, znowu uściśnął dłoń i szybko oddalił się w głąb parku. Im dalej szedł, tem wilgotniejsze były ścieżki, wokół leżały zeszlitoroczne liście, tam i ówdzie pomiędzy pniami topniał ostatni śnieg. Pomimo to z głębi drewnianej muszli dolatywały dźwięki kujawiaka. I oto na pewnym skrajnie, około krzaka w seledynowych pączkach, zobaczył wiotką chudziutką postać. Nie zdziwił się zupełnie. Zapytał:

— Pani się przechadza. Dlaczego nie poszła pani do gimnazjum?

— Ach, niech mi pan nic nie mówi o tej budzie! — odrzekła, zabawnie marszcząc nos.

— Pani stale przychodzi tu na spacer? — zapytał glucho, niedorzecznie. Poczul się pograżony w dziwaczny omdlewający mgłę. Nie miał nawet czasu na to, by stwierdzić, że pochodzenie tej mgły było drastyczne i nieprzyzwoite. Bez udziału własnej woli, działając jak we śnie, pochylił się i wziął pensjonarkę pod ramię. Brak wszelkiego oporu z jej strony rozbroił go a zarazem podniecił. Przez głowę, poprzez szeregi niezachwianych zasad moralnych, przemknął ostrzegawczy strzępek myśli: „Co czynię? przecież to dziecko ulega nietylko mnie, co przewadze moich lat!” Pojął bowiem wlot, że może z nią zrobić wszystko, co zechce, właśnie wskutek tej różnicy wieku i doświadczeń. Hamulce moralne zgrzytnęły, ale już nie było na to rady. Pokusa była zbyt wielka. Każdy mężczyzna jej uległ. Bo prawdziwy mężczyzna nie lubi w kobiecie ani oporu ani wielkiego doświadczenia. Natomiast uległość i łatwość zdobycia podnieca go bardziej niż wyrachowane zalotny sprzeciw. Trzeba jeszcze dodać, że Gradzki był wysokim, tęgim, chciałoby się powiedzieć, wypasionym mężczyzną, a właśnie tego typu mężczyźni lubują się w szcuplem niedorozwiniętym ciele kobiecym. Bo daje im zupełnie fizyczne namacalne poczucie własnej przewagi i wyższości. Bo pokryć małe, drobne ciało swoją olbrzymią tuszą — oto tajemna niezaprzeczalna rozkosz! Rozkosz tkwiła także w bezkrytycznym stosun-

ku do jego osoby. Jako czterdziestoletni mężczyzna zrozumiał po raz pierwszy demoralizujące znaczenie bezwzględnej absolutnej władzy. Bo jasnym było — chociaż zamienił z pensjonarką zaledwie dwa zdania — że każde jego słowo, najbardziej nawet głupie, zostanie przyjęte jako aksjomat, jako wyrocznia, jako coś, nie podlegającego żadnej krytyce i wątpliwości. I to właśnie teraz, kiedy właściwie nie wie nawet, kim on jest, kiedy się nawet nie przedstawił... aha!..

— Przepraszam — powiedział i przyłożył rękę do narciarskiej czapki — pani pozwoli, że się przedstawię!

— Nie potrzeba — uśmiechnęła się — doskonale wiem, jak się pan nazywa. Czy pan myśli, że jestem aż taka głupia gąsienka z prowincji, że nie znam naszych znakomitości z Warszawy? Poznałam pana z fotografii!

— Ach, tak? — zawołał. Potem nadal swej twarzy wyraz wzdorliwej obojętności. — Pani wie, jak się nazywam? — powtórzył.

Dźwięki orkiestry nie były wcale takie liche, jak się z początku wydawały. Zaciszy kąt parku, rozgrzany wiosennym ciepłem, parował miłosną prowincjonalną zyczliwością. Prowincja, prowincja! Można było i należało wreszcie się z nią pogodzić. Bo okazało się, że rozumiała go i cenila w równej mierze, co stolica. Bo przecież mała, smarkata gimnazjastka, cherlawe dziecko z zapadłej dziury, wiedziało o nim i odnosiło się do niego, z czym? — spojrzał bokiem — z nabożeństwem!

— Pani wie, jak się nazywam? — zawołał powtórnie.

— A jakże — odpowiedziała. — Nie znalazłbym najlepszego naszego architekta, który wziął międzynarodową nagrodę? Przecież nazywa się pan: Gradzki. Architekt Jan Gradzki!

— Gradzki — poprawił inżynier ponuro. Był jednak wyjątkowo wyrozumiały. Takich drobiazgów, jak różnica między samogłosek „a” i „o” czepiać się teraz nie chciał. Zależało mu na istocie rzeczy. Istotą zaś rzeczy był jej bałwochwalczy stosunek do

ciom ludzkim staje się bohaterstwem, ale bywają czasy, gdy obserwowanie świata z Diogenesowej beczki może być północnym polem najmniejszego oporu. Jak się ta sprawa wysiłku wewnętrznego w wyborze pewnej postawy wobec życia przedstawia w każdym poszczególnym wypadku, o tem wie tylko sumienie danego człowieka; sędzić bliźniego nie mamy prawa.

Chciałbym być dobrze zrozumianym: nie odmawiam Skiowskiemu prawa do zajęcia tej postawy, którą głosi w przedmowie, ale stanowczo muszę się przeciwstawić sugestji, jakoby ona była czemś moralnie wyższym w stosunku do innych postaw, zironizowanych przez niego. Jest to sugestia o tyle niebezpieczna, że podana przez pisarza, którego bez żadnej przesady należy uznać za jednego z najświetniejszych publicystów współczesnych.

Skiwski w artykule o Prusie (jednym z najlepszych w całej książce) trafnie zauważa, że Prus, choć był niewątpliwie wielkim pisarzem, jednego wszakże nie miał: świętości! Jeśli rozumieć przez świętość wielką umiejętność pokazania swego wirtuozyzmu w słowie, to istotnie Prus tego nie posiadał, Skiwski natomiast posiada ją w dużym stopniu. Panuje nad wszystkimi rejestrami języka, operuje naprzemian abstrakcją i obrazową metaforą, znajduje zawsze najwłaściwszy termin dla pojęcia, które chce wyrazić; w stylu swoim jest prosty, ścisły i wykintny. Ten znakomity instrument językowy służy do wyrażenia treści myślowej, której źródłem jest subtelna analiza, bystra obserwacja i dowcip. Dowcip przenikliwy, ale nie zjadliwy. Inteligencja, zadziwiająca hogoactwem nieoczekiwanych skojarzeń. Słowem — pisarz doskonały, w doskonałości swej niebezpieczny dla tych, którzy widzą oczywistość prawdy tam, gdzie jest tylko sugestia dużego talentu.

Naprzelaż jest trafnie dokonany wyborem istotnie najlepszych artykułów autora z lat ostatnich. Sześć pierwszych szkiców wiąże się tak czy inaczej z problematyką katolicyzmu współczesnego, następne obracają się w sferze zagadnień literackich i socjologicznych. Spotykamy tu znakomite uwagi o Prusie, Weysenhoffie, Marji Dąbrowskiej, Irzykowskim i Nowaczyńskim; dalej ciekawą charakterystykę społeczno-moralnych dążeń Boya, określonych przez Skiwskiego trafnym terminem ideału „życia ulatwionego”; wreszcie wielką trzeźwością nacechowane rozważania o roli literatury we współczesnym życiu narodowym, o poszukiwaniu typu dzisiejszej kultury polskiej, o snobizmie chłopomanji i mitologii quasi-proletariackiej, grasującej od pewnego czasu wśród naszych literatów. Już to wliczenie zagadnień, którym Skiwski poświęca swą uwagę, świadczy o rozległości jego horyzontów myślowych; jeszcze większe uznanie budzić musi sposób ujęcia wielu poru-

niego. Zresztą, może nietylko to. Może sedno sprawy tkwiło w jej szcuplem niedorozwiniętym ciele! W zaledwie widocznym zarysie piersi!

— Pani jest bardzo piękna! — wyrzekł z trudem, obliczając wargi. „Co też mówię!” przeraził się jednocześnie. Przyszło mu na myśl powiedzenie prokuratora o balansowaniu na granicy kodeksu karnego. „Ile ma pani lat?” — chciał zapytać. Bo gdyby miała osiemnaście, wszystko byłoby w porządku. Ale jednak nie zapytał. Odpowiedź, usuwająca wiek poza kres prawnej dojrzałości, pozostawiła go w położeniu nadwyrzaski przykrem i trudnym. Omdlewająca, lepka mgła otaczała go zewsząd. Nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje i dlaczego — pochylił się i pocałował pensjonarkę w dziecięce, nabrzmiałe wargi.

O tem, co się stało później, przypominał sobie bardzo niejasno. Miał wrażenie, że zaprowadził pensjonarkę do swego pokoju hotelowego poomacku i że ocknął się dopiero w chwili najbardziej decydującej. Bo w momencie przekroczenia granicy, dzielącej go od konfliktu z kodeksem karnym. Granica była cienka, ciepła, żywa. Więc resztkami zasadniczej szlachetności powstrzymał się od tego ostatecznego ruchu, od ostatecznego wejścia w kolizję z prawem, i spuścił wzrok. Lniane puszyste włosy rozsypany się na poduszce, błękitne niewinne oczy patrzyły na niego z uwielbieniem — drobna, o jakże świeża, pełna serdecznej dobroci twarz wydała mu się tak nieprzewidywaną w swej pociągającej sile, że nie wytrzymał i zsunął się wdół. I wówczas wyjaśniło się, że w dalszym ciągu pozostawał szlachetnym, czystym, uczciwym człowiekiem, bo granica, którą miał przekroczyć, nie istniała.

I wówczas głęboki, słuszny żal do całego świata wybuchnął w nim z potrójną siłą. On, znakomity inżynier Gradzki, nieskalany obywatel, wyjątkowy pod każdym względem człowiek, spotkał się znowu z najgorszą — bo podstępna i plugawa — obrazą.

Wstał i wykrzyknął z oburzeniem:

— Jak pani śmiała!

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

